

Byłem w Polsce – 7

26 maja 2018

Wyjeżdżaliśmy do różnych miast i trzeba przyznać, że wszędzie było ładnie. Droga do Trójmiasta, A-2 do Poznania, Kraków, Wrocław, Karpacz, Zakopane, Rzeszów... To były wycieczki w różnych porach tego samego 2017 roku. I jakkolwiek w lecie zawsze jest najprzyjemniej, to inne pory też mają swój urok.



Jeździliśmy do Domu różnymi drogami. Dla urozmaicenia. Jedna z nich prowadziła przez piękne osiedle białych domków pokrytych czerwoną dachówką. Parkany były żelazne, wszędzie tablice informujące o systemach alarmowych, roślinność imponująca, na podjazdach eleganckie „wypasione bryki”, a na gankach wielkie, rasowe psy, które od czasu do czasu czujnie podnosiły swoje szlachetne łby, ale nie czekały. Tak jakby chciały powiedzieć, że wszystko widzą i słyszą, ale mając poczucie swojej siły, nie będą się zniżać do poziomu kundla, który biega jak wściekły wzdłuż płotu, obszczekując każdego przechodnia.

To zamożne osiedle sprawiało wrażenie spokoju i dobrobytu.

– Tak jakbyśmy byli gdzieś w Bawarii – myślałem.

Swoją drogą, trochę dziwiły te wszechobecne zabezpieczenia

przed złodziejami, ale wytłumaczono mi, że tak trzeba i że nie mam pojęcia, co się działo we wczesnych latach dziewięćdziesiątych, kiedy to podobno (powtarzam „podobno”) rozboje i włamania były bardzo częste.

Co do nas, to – chwalić Boga – nigdy nic się nie stało, ale coś musiało być na rzeczy, bo na przykład w czasie szukania parkingu w okolicach budowanego właśnie CDT jakiś stojący na chodniku dżentelmen dał mi ręką znać, żebym zaparkował w małej zatoczce. Podjechałem. Poczułem od niego sympatyczny zapach alkoholu. Uśmiechnięta buzia.

– Prezesie – powiedział – pan sobie stanie tutaj. Pan da parę złotych na herbatę, a ja popilnuję, żeby nikt panu czasem lusterka nie wyłamał, albo jakimś gwoździem lakieru nie porysował, albo opon nie poprzebijał...

Muszę przyznać, że szczegółowość tej listy mogących mi się przytrafić wypadków trafiła do mnie tak wyraźnie, że dałem mu parę złotych i zostawiłem auto.

Gdy wróciłem, wszystko było w najlepszym porządku, ale mojego opiekuna nie było. Pewnie musiał pójść na herbatę.

Widzi się czasami żebrzących, biednych, może naciągaczy – kto to wie? Bywa, że są to małżeństwa (?) z małym dzieckiem leżącym na kolanach kobiety, albo mężczyzna z psem, czy młoda, dobrze ubrana dziewczyna klęcząca na chodniku... Takie obrazki widać też przy kościołach, ale akurat proszenie o jałmużnę w tych miejscach jest w jakimś sensie przyjęte. Tak przecież było od niepamiętnych czasów. Takie obrazki widać w każdym mieście – nie tylko w Warszawie.

Szczególnie młode, klęczące, na pierwszy rzut oka zdrowe dziewczyny robiły na mnie jakieś dziwne, trochę niesamowite wrażenie. Po prostu klęczały. I to na obu kolanach. Wyprostowane. Czasami uśmiechały się boleśnie, jakby przepraszały, a czasami tylko klęczały i patrzyły na przechodzących. Ten ich wzrok przesuwiał się za nimi, może z

wyrzutem, a może z żalem – trudno mi było odgadnąć.

Wspomniałem o parkingu koło CDT i o dżentelmenie, który ofiarował się „pilnować” auta.

Dziś słynny dom towarowy jest w supergeneralnym remoncie. Ma dostać oryginalny wygląd – taki jak kiedyś – za czasów swojej młodości w latach pięćdziesiątych. Pamiętam go dobrze.

Na najwyższym piętrze była kawiarnia, w której powszechnie wtedy znana pani Barbara Hoff organizowała pokazy mody. Nie tylko tam. Widziałem ją na otwarciu Domu Towarowego Junior w zespole Domów Towarowych Centrum.

W lipcu 1969 roku, wraz z grupą koleżanek i kolegów, w ramach Ochotniczych Hufców Pracy pracowałem w cegielni w Chylicach pod Warszawą. Te hufce wcale nie były takie ochotnicze i niektóre nasze koleżanki cierpiały z powodu prymitywu zakwaterowania, złego wyżywienia i ciężkiej pracy, ale tak było i pozostawało jedynie „ochotniczo” zacisnąć zęby i starać się dotrwać do końca tego „zesłania”.

I właśnie tam, któregoś dnia, dostaliśmy polecenie uczestnictwa w otwarciu nowego domu towarowego – Juniora. Telewizja nagrywała wielką fetę, na której mieliśmy stanowić tło w postaci grupy tańczącej młodzieży dla występujących solistów. Jednym z tych solistów był Edward Hulewicz z grupą Heliosi. Wszystko odbywało się na dachu-tarasie Juniora. Po występie mieliśmy w nagrodę możliwość zakupów – jeszcze przed oficjalnym otwarciem.

I właśnie wtedy – przed występem Hulewicza – Barbara Hoff prezentowała swoją kolekcję. Piękne modelki spacerowały wyuczonym krokiem po tarasie.

Nic wtedy o pani Hoff nie wiedziałem, ale nasze koleżanki znały ją świetnie, wzdychały z zachwytem i z nabożeństwem powtarzały „Hoff, Hoff...”.

Takie to było moje „spotkanie” z polską dyktatorką mody!

Począwszy od tego roku, czyli od czasu otwarcia, Domy Centrum zaczęły przyćmiewać swoim blaskiem stary CDT, który nie wytrzymywał konkurencji, męczył się i szarpał jak szczupak w wężcierzu, aż wreszcie straszny pożar 1975 roku zakończył jego agonię.

Teraz ma szansę wrócić na dziejową scenę i znowu stać się sztandarową placówką handlową w Warszawie.

Czy wytrzyma konkurencję z wielkimi galeriami? Bóg jeden raczy wiedzieć!

To, że w całej Warszawie, na każdym kroku widać chęć podkreślenia przeszłości, jest imponujące. Odnawia się stare kamienice, odbudowuje pamiątki przeszłości, wraca do dawnych nazw sklepów, znaków firmowych, herbów. Pewnie, że widząc te wszechobecne zmiany, żał mi było wielu nazw ulic i placów, ale tłumaczyłem sobie, że te akurat są usprawiedliwione. Jedne bardziej, inne mniej, ale są! Ostatecznie jak długo można było patrzeć, na przykład, na Krwawego Felka?!

W tydzień po naszym staromiejskim spacerze wybraliśmy się na inny – może nawet ciekawszy. Oś Saska. To nie jest długa trasa – raptem coś około półtora kilometra, ale jej perspektywa jest jedną z najpiękniejszych w mieście. Ciągnie się od Krakowskiego Przedmieścia – tuż od pomnika Prusa koło Bristolu, poprzez plac Piłsudskiego, Grób Nieznanego Żołnierza i dalej przez park ze wspaniałą fontanną i jeszcze dalej przecina Marszałkowską, plac Za Żelazną Bramą i dochodzi do pałacu Lubomirskich koło Hali Gwardii.

Z tym spacerem wiązało się moje dawne wspomnienie.

Otóż w szóstej czy może siódmej klasie szkoły podstawowej dostaliśmy zadanie, żeby narysować ulicę miasta. Jakoś mi to nie wychodziło. Męczyłem się i próbowałem, ale z marnym rezultatem. Poprosiłem więc moją mamę o pomoc, a ona paroma

kreskami naszkicowała mi wspaniałą, szeroką ulicę, która biegła prosto i w jej perspektywie widać było dwie, wysokie, kościelne wieże. Zaraz potem, od siebie, narysowała drugą. Tym razem to była piękna aleja ze wspaniałą fontanną w kształcie płaskiego kielicha.

Oba szkice zachowałem przez wiele lat. Do szkoły skopiowałem ten pierwszy – z wieżami w tle.

Nie pytałem wtedy mamy o te ulice. Przyjąłem, że są produktem wyobraźni, ale po przyjeździe do Warszawy olśniło mnie, że te dwie perspektywy faktycznie istnieją! Ta pierwsza okazała się ulicą Marszałkowską widzianą od dzisiejszego ronda Dmowskiego w kierunku placu Zbawiciela. Tę chwilę pamiętam doskonale. W dalekiej perspektywie ujrzałem dwie wysokie wieże kościoła Zbawiciela. Widziałem też kandelabry na MDM i wszystko było tak jak na rysunku mojej mamy!

Drugą była właśnie Oś Saska widziana z Krakowskiego Przedmieścia!

Moja mama miała wspaniałą malarską pamięć i umiała ją wykorzystać.

Ten spacer wzbudził moje bardzo mieszane odczucia.

Autorstwo: Marcin Baraniecki

Zdjęcie: [jarmoluk](#) (CC0)

Źródło: [Goniec.net](#)